

Echa pewnej wycieczki...

Do Ponar przyjechaliśmy w pochmurny poranek. Niebo wisiało nisko nad ziemią, jakby chciało przycisnąć wszystko do dołów ukrytych pod piaskiem. Powietrze było wilgotne i chłodne. Autokar zatrzymał się nagle. Przed nami rozciągał się las — na pierwszy rzut oka zwyczajny: drzewa, piaszczysta ścieżka, zieleń. A jednak już po kilku krokach poczułam, że to tylko pozór. Wsiadaliśmy powoli. Ktoś mruknął, że zimno. Ktoś inny założył słuchawki, ale nawet przez nie słyhać było tę głuchą ciszę. Stałam na skraju ścieżki i patrzyłam w głąb lasu. Miałam wrażenie, że on również patrzy na mnie oceniająco, jak świadek, który pamięta wszystko. Ruszyliśmy wąską ścieżką. Drzewa rosły blisko siebie, ich pnie były ciemne, porowate, jakby nasiąknięte czymś więcej niż deszczem. Pod stopami chrząścił piasek — dźwięk zbyt głośny. Przewodnik mówił cicho, niemal szeptem, jakby bał się, że głośniejsze słowa obudzą ziemię.

– W tym lesie – powiedział – w latach 1941–1944 zamordowano około stu tysięcy ludzi...

Sto tysięcy – ilość, którego umysł nie potrafił ogarnąć. Twarze rozmywały się w piachu, a głos przewodnika tonął jakby pod wodą. Wpatrywałam się w suchą, zbyt zwyczajną ziemię, aż uderzył we mnie zapach rdzy i starej wilgoci. Powietrze zgęstniało, klatka piersiowa zacisnęła się w dusznym uścisku lasu. Odeszłam na stronę, szukając ratunku w drzewach. Z każdym krokiem świat za mną gasł, aż pochłonęła mnie cisza absolutna – nieruchoma, wyczekująca, nieludzka. Dotknęłam pnia, lecz kora parzyła zimnem. Cofnęłam dłoń, czując, że naruszam sferę zakazaną. Kolana ugięły się pode mną, a w tej martwej ciszy słyszałam już tylko własne serce, tłukące się o żebra zbyt głośno, zbyt szybko.

– To tylko zmęczenie – wyszeptałam.

Ziemia pod stopami pulsowała lodowatym tchnieniem, jakby pod warstwą piachu oddychało coś nienazwanego. Las zachwiał się bez wiatru, pnie wydłużyły się w gorączkowym tańcu, aż świat zgasł, przygnieciony nagłą ciemnością. Gdy wróciła świadomość, czas był już martwy. Na piersi czułam niewidzialny gład, a duszne powietrze trzeba było wyszarpywać z przestrzeni siłą. To nie był już ten sam las. Drzewa trwały w bezruchu, lecz ich cienie zgęstniały, pęczniejąc od czyjejś obecności. Czułam na sobie wzrok tysięcy par oczu ukrytych między pniami. Cisza przestała być brakiem dźwięku – stała się drapieżnym, nieustannym czuwaniem.

– Słyszysz ich? – zapytał cichy głos.

Podskoczyłam gwałtownie i odwróciłam się. Stał obok mnie chłopiec. Był drobny, zbyt chudy, jakby nie miał czasu dorosnąć. Nosił cienki, znoszony płaszcz, za duży na jego sylwetkę. Rękawy zwisały bezwładnie, jakby należały do kogoś innego. Twarz miał bladą, niemal przezroczystą, a oczy... oczy były najgorsze. Nie należały do dziecka. Były stare, zmęczone, jak oczy kogoś, kto widział koniec świata i nie zdążył o nim opowiedzieć.

– Kim jesteś? – zapytałam, choć głos drżał mi tak, że ledwo go słyszałam. – Dlaczego tu jesteś?

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się, czy w ogóle ma prawo odpowiedzieć.

– Kiedyś miałem imię – powiedział w końcu. – Mama wołała mnie po imieniu. Tata też. Teraz nikt już nie woła. Zostają tylko wspomnienia. A one boją bardziej niż strach.

Chciałam zapytać, co się z nimi stało, ale nie zdążyłam. Chłopiec ruszył przed siebie, a ja poszłam za nim. Z każdym krokiem świat tracił kolory. Jasność gasła, jakby ktoś powoli zakręcał jasność dnia. Ziemia pod nogami stawała się twarda i zimna, a w powietrzu unosił się zapach wilgoci zmieszanej z metalem i czymś duszącym. Nagle las się rozstał. Zobaczyłam ludzi stojących między drzewami, ustawionych w długiej, niemej kolejce. Byli tak blisko, że dostrzegałam najmniejsze drgnięcia ich twarzy. Nikt nie mówił. Nikt nie krzyczał. Cisza była gęsta i bolesna. Kobieta trzymała dziecko przyciśnięte do piersi tak mocno, jakby chciała je w sobie ukryć. Przez chwilę nasze spojrzenia się spotkały — oczy dziecka były szeroko otwarte, pełne paniki. Niedaleko starszy mężczyzna poruszał wargami bezgłośnie, modląc się albo powtarzając czyjeś imię, by nie zapomnieć.

– Dlaczego oni stoją? – zapytałam.

– Bo czekają – odpowiedział chłopiec. – Wszyscy tu czekaliśmy.

Serce zaczęło mi bić tak szybko, że zaszumiało mi w uszach.

– Na co? – wyszeptałam.

Spojrzał na mnie. – Na śmierć.

Wtedy usłyszałam dźwięk. Suchy. Krótki. Nieodwołalny. Strzał. Ktoś w kolejce osunął się na kolana. Ktoś inny zamknął oczy. Dziecko zapłakało, ale matka w jednej chwili zakryła mu usta, drżąc całą, jakby każdy dźwięk miał przywołać śmierć szybciej.

– Najgorsze było czekanie – mówił chłopiec. – Każdy strzał mówił nam, że jesteśmy coraz bliżej. Że czas się kończy. Że nie jesteśmy ludźmi, tylko następnymi.

Chciałam błagać ich, żeby uciekali. Ale głos zniknął. Jakby las go wchłonał. Z mgły wyłonili się uzbrojeni mężczyźni. Szli powoli, pewnie. Ich twarze były puste, jakby ktoś wyjął z nich wszystkie emocje. Patrzyli na stojących w kolejce jak na przeszkodę, którą trzeba usunąć.

– Dlaczego nikt ich nie powstrzymał?! – krzyknęłam, czując jak łzy spływają mi po twarzy.

– Mówili, że to nie ich decyzja – odpowiedział chłopiec. – Że wykonują tylko rozkazy. A reszta... odwracała głowę.

Milczenie rozlało się po lesie jak trujący gaz. Zrozumiałam, że zabijało wolniej, ale skutecznie. Doszliśmy do dołu. Ogromnego. Ciemnego. Zapach uderzył mnie tak mocno, że cofnęłam się odruchowo. Ziemia była wilgotna, pociemniała, jakby nasiąknięta strachem na zawsze.

– Tu...? – nie byłam w stanie dokończyć.

– Tu – powiedział chłopiec. – Tu stali moi rodzice. Mama trzymała mnie za rękę. Na chwilę ją puściłam.

Zamilkłam.

– I już nigdy jej nie odzyskałam.

Uklękłam. Dotknęłam ziemi. Była lodowata. Lepka.

– Przepraszam... – wyszeptałam bezradnie. – Tak bardzo mi przykro.

Spojrzał na mnie. – Przestań przepraszać – powiedział. – Odwaga jest ważniejsza.

Las zaczął się rozmywać. Zniknęły drzewa. Zobaczyłam w oddali grupkę uczniów. Rozmowy. Śmiech. Kogoś wyśmiewano. Byli tymi, którzy patrzyli i nic nie robili.

– Co to ma wspólnego z wami?! – krzyknęłam.

– Wszystko – odpowiedział cicho. – Zło zawsze zaczyna się od ciszy.

Strzały wróciły. Krzyk. Upadłam na kolana.

– Nie pozwól nam umrzeć drugi raz – powiedział chłopiec, cofając się w mrok. – Tym razem w zapomnieniu.

Wyciągnęłam rękę. – Nie odchodź!

Ale był już częścią lasu. Ciemność zamknęła się wokół mnie jak trumna. Obudziłam się gwałtownie, jakby ktoś wyrwał mnie z lodowatej, czarnej wody. Przez ułamek sekundy nie wiedziałam, czy oddycham naprawdę, czy tylko mi się tak wydaje. Powietrze uderzyło w płuca boleśnie, szorstko, jakby było zbyt ciężkie, by dało się nim oddychać bez wysiłku. Serce waliło mi w piersi w niekontrolowanym rytmie, a całe ciało drżało — nie z zimna, ale ze strachu, który nadal mnie się trzymał, jakby nie chciał odejść razem ze snem.

– Halo! Słyszysz mnie?! – czyjś głos był zbyt głośny, zbyt blisko, niemal agresywny, jakby próbował wydrzeć mnie spod ziemi.

– Oddychaj... proszę, oddychaj... – powtarzał drugi głos, cichszy, pękający ze strachu.

Świat nie chciał się złożyć w całość. Docierał do mnie kawałkami, poszarpanymi obrazami. Widziałam tylko fragmenty: twarz zlaną potem, szeroko otwarte oczy pełne lęku, czarne gałęzie rozciągające się nade mną jak długie, kościste palce, szare niebo, identyczne jak to, które widziałam w swojej wizji. Ktoś ścisnął moją dłoń z całej siły — tak mocno, że poczułam ból. Ten ból był jedyną rzeczą, która upewniała mnie, że jeszcze tu jestem.

– Jestem... jestem tutaj – wyszeptałam, bardziej do siebie niż do nich, bo sama nie byłam tego pewna.

– Zemdlałaś. Znalazłyśmy cię kilka metrów od ścieżki – powiedziała nauczycielka. Jej głos był nienaturalnie spokojny, wymuszony, a pod nim krył się strach, którego nie potrafiła już ukryć.

– Leżałaś zupełnie nieruchomo. Myślałam, że...

Zamilkła. Nie musiała kończyć. Ja wiedziałam. Rozejrzałam się powoli, z wysiłkiem. Leżałam na prawdziwej ziemi. Zimnej, wilgotnej, twardej. Jej zapach był intensywny — mokry, ciężki, metaliczny. Dokładnie taki sam jak w wizji. To podobieństwo uderzyło mnie z całą siłą. Przez chwilę miałam wrażenie, że coś porusza się pod powierzchnią, że ziemia pracuje, oddycha, czeka tylko na moment, by znów mnie wciągnąć.

Las był spokojny. Zbyt spokojny. Drzewa stały nieruchomo, jakby udawały obojętność. Ptaki odezwały się ostrożnie gdzieś wysoko, niepewnie, jakby sprawdzały, czy można już wrócić do życia. Promień słońca przebił się przez chmury i oświetlił fragment ścieżki — tak niewinnie, tak zwyczajnie. Dokładnie tak, jakby nigdy nic się tu nie wydarzyło. I to było najstraszniejsze.

– Co się stało? – zapytał ktoś z klasy.

– Ona chyba miała atak paniki... – odezwał się ktoś inny, ściszone głosem.

Chciałam krzyknąć, że to nie była panika. Że widziałam, słyszałam, czułam. Że stałam razem z nimi w kolejce. Że ziemia pamięta dotyk ich ciał. Ale słowa utkwily mi w gardle jak grudki piasku, których nie da się przełknąć ani wypłuć. W autokarze cisza była niemal dusząca. Nikt się nie odezwał. Nikt nie śmiał się, nie żartował. Silnik warczał jednostajnie, lecz nawet ten dźwięk wydawał się przytłumiony, jakby nie miał prawa zagłuszyć myśli. Siedziałam przy oknie i patrzyłam na las znikający za szybą. Drzewo po drzewie. Jedno jak nagrobek bez imienia. Drugie jak cień człowieka, który nigdy z niego nie wyszedł.

Tej nocy nie spałam ani minuty. Za każdym razem, gdy zamykałam oczy, las wracał. Słyszałam kroki za plecami, choć wiedziałam, że nikogo nie ma. Czułam zimno ziemi na dłoniach, jej wilgoć. Budziłam się z krzykiem, przekonana, że ktoś stoi obok łóżka, że zaraz usłyszę szept przy uchu. I słyszałam. Nie głosem. Myślą. Wyraźnie. Bez litości.

- Nie pozwól, byśmy byli tylko snem.

- Przestań... – szeptałam w ciemność, ściskając kołdrę, jakby mogła mnie ochronić. – Proszę... Ale cisza nie odpowiadała. Cisza tylko czekała.

W szkole wszystko wyglądało zwyczajnie. Zbyt zwyczajnie. Śmiech na korytarzu, rozmowy, żarty. A ja widziałam pod tym coś jeszcze: obojętność, milczenie, spojrzenia odwracane w idealnym momencie. Każde takie milczenie było jak krok do przodu w lesie. Jak strzał, który jeszcze nie padł. Na lekcji historii nauczyciel zapytał:

- Czym dla was są Ponary?

W klasie zapadła cisza tak gęsta, że słyszałam własny oddech. Serce dudniło mi w uszach. Bałam się. Naprawdę się bałam.

- Jeśli teraz zamilknie, staniesz tam razem z nimi – powiedział głos w mojej głowie. Podniosłam rękę.

- Opowiedz – powiedział nauczyciel.

- Zeszłam ze ścieżki... – zaczęłam, a głos drżał mi jak napięta struna. – Straciłam przytomność. A potem zobaczyłam to miejsce takie, jakim było naprawdę. Z ciszą, która nie była spokojem.

- To był tylko sen – odezwał się ktoś niepewnie.

Popatrzyłam w tamtą stronę

. – Nie. To była prawda, której nie chcemy słyszeć.

Opowiedziałam wszystko. O chłopcu bez imienia. O ziemi. O milczeniu.

– Ponary nie są tylko pamięcią – powiedziałam na końcu. – One są pytaniem. Czy dzisiaj potrafilibyśmy nie milczeć?

Nikt się nie odezwał. Po dzwonku nikt nie wstał od razu. Jakby każdy musiał najpierw odpowiedzieć sobie na to pytanie. Kiedy wyszłam ze szkoły, spojrzałam na drzewa przy ulicy. Zielone. Zwykłe. Spokojne. Ale ja już wiedziałam, że las nigdy nie jest tylko lasem. Ponary są pamięcią. Ale pamięć bez odwagi umiera. Ponary są lekcją. Lekcją, że milczenie też jest winą. Lekcją, że jeden głos może przerwać najgęstsza ciemność. I jeśli potrafimy mówić - oni nie znikną.